

Diogenes

Byłam wypłoszem

Awantury? No pewnie, że się zdarzały,
nie ma domów bez napięć.
Raz to było głośnie, raz wytłumione.
Dynamicznie było. Życiowo

wysłuchała BEATA KĘCZKOWSKA

NIE IDEALIZUJĘ DZIECIŃSTWA. Nie chciałabym do tych czasów wrócić, a do siebie nastoletniej to już na pewno. Bardzo współczuję mojej córce, która ma teraz 12 lat. Nie ma nic trudniejszego, niż być 13-latką. Dla mnie było to jak doświadczenia dziewczyn z „Przekleństw niewinności” Sofii Coppoli. Bardzo bałam się ludzi. Towarzyszył mi strach. W „Przekroju”, który prenumerowali moi rodzice, na końcu były drukowane powiedzonka, „Humor zeszytów”, ale również rozmaite sentencje i złote myśli. Mój Tato je uwielbiał i często cytował. Najbardziej zapadła mi w pamięć: „Czy lepiej mieć usta zamknięte i być podejrzanym o niedorozwój umysłowy, czy je otworzyć i rozwiązać wszelkie wątpliwości”. On je powtarzał w ramach anegdoty, ale dla mnie to znaczyło, że lepiej się nie odzywać, bo się wyda, że nic nie wiem. Że niczego nie umiem. Byłam nadwrażliwym wypłoszem. »

AGNIESZKA GLIŃSKA

– reżyserka teatralna
i telewizyjna oraz aktorka.
Ukończyła warszawską PWST.
Laureatka Nagrody im. Leona
Schillera i Paszportu „Polityki”.
Od 2012 roku dyrektorka
warszawskiego Teatru Studio.
W tym sezonie zobaczymy
m.in. „Iwonę, księżniczkę
Burgunda”
Witolda Gombrowicza
w Teatrze Narodowym
w jej reżyserii.
Jest mamą 21-letniego Franka
i 12-letniej Janki

STARAŁAM SIĘ POZNAĆ DZIEJE MOJEJ RODZINY, ALE MAŁO WIEM. Dziadek ze strony ojca był z Krakowa, babcia z Rzeszowskiego, poznali się tuż przed wojną.

Rodzice mojej mamy pochodzili z okolic Krakowa, ale poznali się w Niemczech, gdy zostali w czasie wojny wywiezieni na roboty. Już razem wrócili do Wrocławia. Mieszkali w innej niż my części Wrocławia, na Krzykach. Byłam z nimi bardzo związana, ciągle do nich jeździłam. Gdy byłam mała, jeszcze pracowali. Babcia w centrali telefonicznej Wydawnictw Kartograficznych we Wrocławiu, chodziłam do niej przelączać kolorowe kabelki. Dziadek był robotnikiem w Hutmenie, ale z powodów zdrowotnych szybko przeszedł na rentę. Bardzo mnie kochali.

MÓJ TATO JEST Z WYKSZTAŁCENIA FIZYKIEM. Przez lata pracował w Międzynarodowym Laboratorium Silnych Pól Magnetycznych i Niskich Temperatur. Uwielbiałam w dzieciństwie tę nazwę. To „międzynarodowe” w tamtych czasach znaczyło, że oprócz Polaków pracowali tam ludzie ze Związku Radzieckiego, Bułgarii i NRD. Taka to była międzynarodowa wymiana. Siedzieli tam i skraplali hel. Zaglądałam do jego pracy, ale rzadziej niż do babci. Pamiętam, że ciekawił mnie ciekły azot.

Potem mój ojciec musiał się przekwalifikować i od późnych lat 90. jest szefem spółki rolniczej pod Wrocławiem. Biznesmen i rolnik w jednym. Zawsze się odnajdywał w każdych okolicznościach, ma niesamowicie szerokie horyzonty. Zmienił kompletnie zawód.

Sporo czasu spędzałam też w pracy mamy, w szpitalu dziecięcym we Wrocławiu. Skończyła studium medyczne, była technikiem EKG i RTG i pracowała w rentgenie całe swoje życie, aż do emerytury. Uwielbiałam do niej przychodzić i przesiadywać wbrew wszelkim zasadom. Imponowało mi to, co robi, często opowiadała w domu o swoich małych pacjentach. Byłaby wspaniałym, empatycznym lekarzem.

RODZICE POZNALI SIĘ WE WROCŁAWIU, trenowali koszykówkę, byli sportowcami – to ich połączyło. Byli bardzo młodzi. Kiedy się urodziłam, żadne nie miało jeszcze 20 lat. Tworzyli z mamą klasyczny, jak na tamte czasy, związek patriarchalny. Tata był decyzyjny i autorytarny,



1973 r.



1977 r.

”
*Zastrzyki nie były straszne,
udawałam nawet, że je lubię.
Jedyne, czego się bałam,
to sonda – rura do badania
żołądka*

mama ugodowa i wyrozumiała. Zawsze byli dla siebie nawzajem najważniejsi. W grudniu będą świętować 47. rocznicę ślubu.

Wiadomo, że to nie jest różami usłane. Próba zgrania się, dogrania, ustalenia własnych warunków – to dla każdej pary jest hard core, mało kto to umie. Wspólne 47 lat jest wynikiem niesamowitym. Umówili się, że idą razem przez życie, to

idą. Wszystko, co się zdarzało po drodze, brali na klatę razem, a bywały czasy trudne i biedne. Awantury? No pewnie, że się zdarzały, nie ma domów bez napięć. Dynamicznie było. Życiowo. Ale z takim otwarciem na świat i ludzi, które dzieci przejmują przez osmozę.

Gdy chodziłam do pierwszej klasy liceum, mama miała bardzo ciężką operację serca. Ojciec to strasznie mocno przeżył. Dekadę później poważnie zachorował tata i mama potwornie przeżywała. W takich okolicznościach co innego staje się ważne w rodzinie. Wszystko, co może towarzyszyć wspólnemu życiu przez tak długi czas, w mojej rodzinie zostało przerobione.

BYŁAM STRASZNYM NIEJADKIEM. Pamiętam, jak w żłobku wypłulałam jedzenie z buzi na białe fartuch jednej z pań. Ze żłobka mam jeszcze jedno wspomnienie: kiedy przychodzili po mnie rodzice, to sadzali mnie na bardzo wysokim krześle. Miałam wtedy mniej niż dwa lata. Ciekawe, na ile to pamiętam, a na ile moja pamięć sama sobie wyprodukowała te wspomnienia?

Gdy już byłam w liceum, to któregoś dnia zajrzałam do tego żłobka. Wciąż działał w tej samej, starej poniemieckiej willi. Szukałam tego wielkiego krzesła i zobaczyłam je – niedaleko wejścia stał zwykły taboret.

Chodziłam do zwyczajnej podstawówki, rejonowej. Lubiłam szkołę, nie przeszkadzała mi. Przyjmowałam ją z całym dobrodziejstwem inwentarza PRL-owskiej edukacji. W podstawówce przez pierwsze trzy lata miałam wychowawczynię, która była zagorzałą komunistką. Prowadzała nas w rocznicę rewolucji październikowej do

Hali Ludowej we Wrocławiu na występy jak na stadionach w Korei Północnej. Trzy dni nie chodziliśmy do szkoły, tylko ćwiczyliśmy układy, przywdziewaliśmy białe albo czerwone fartuszki i ruszaliśmy się, rozbiegaliśmy, tworząc żywe obrazy.

Liceum już było nieprzypadkowe – sama wybrałam, dość wtedy elitarne – osławiona we Wrocławiu czternastka, która produkowała geniuszy matematycznych i przyszłych lekarzy. Miała klasy matematyczne i jedyną klasę matematyczno-fizyczno-chemiczną, która przy-

gotowywała do studiów na medycynie. Ściągali do niej z całego Wrocławia wszyscy ci, którzy mieli biało-czerwone paski na świadectwach i się najlepiej uczyli. No to poszłam.

CHOROWAŁAM BARDZO DUŻO. Miałam reumatyczne zapalenie wsierdza i mięśnia sercowego, zapalenie opon mózgowych, jakieś operacje. Zaczęło się dość wcześnie, jak skończyłam cztery czy pięć lat. Leżałam trzy miesiące w szpitalu i dla mnie odtąd to było miejsce bardzo oswojone, nie budziło we mnie żadnego stresu. Zdarzało mi się też leżeć w szpitalu, w którym pracowała mama, i wtedy czułam się troszeczkę na innych prawach. Wtedy skupiała się na mnie uwaga innych, wszyscy przychodzili mnie odwiedzać, martwili się, jak się czuję. Zaprzyjaźniałam się z lekarzami i pielęgniarkami. Lubiłam ten czas. Zastrzyki nie były straszne, udawałam nawet, że je lubię. Jedyne, czego się bałam, to sonda – rura do badania żołądka. Pielęgniarki, które nie umiały nas zdyscyplinować, straszły, że zrobią nam sondę. Bardzo skuteczne narzędzie terroru.

MIEDZY MNĄ A MOJĄ SIOSTRĄ JEST PIĘĆ LAT RÓŻNICY. Ucieszyłam się, gdy się urodziła. Pamiętam, jak ją przywieźli do domu w beciku. Miałymy wspólny pokój, ale zupełnie osobne światy, pięć lat to spora różnica. Tak było przez długi czas, właściwie do momentu, aż ona zdała maturę i przyjechała do Warszawy. Wtedy dopiero nastąpiło autentyczne zbliżenie. Różnie się nasze losy układały, ona poszła swoją ścieżką, ja swoją, ale jesteśmy sobie bardzo bliskie. Siostrzeństwo to wspaniała sprawa.

Żyłyśmy w dyscyplinie. Tata wprowadzał zasady, mnóstwo zasad – godzina pójścia spać, jak dzieci mają spędzać czas, by go nie marnować, kiedy odrabiać lekcje.

Ze swoimi dziećmi poszłam w zupełnie inną stronę. Staralam się im zrekompensować to, czego mi zabrakło, dać więcej wolności, samodyscyplinowania. Co też oczywiście nie jest doskonałe, bo zasady i granice są absolutnie konieczne. I wiem dziś, ile zawdzięczam temu, że te zasady i granice miałam precyzyjnie wyznaczone.

NIE MIAŁAM PRZYJACIOŁEK W PODSTAWÓWCE. Nie bardzo się odnajdywałam w koleżeńskich relacjach, cała podstawówka to było smutne poszukiwanie przyjaznej duszy. Bez skutku. Uciekłam w książki. Świat literacki mnie pochłaniał, więcej sobie wyobrażałam, niż przeżywałam naprawdę.

Pierwszą książką, którą zapamiętałam, była „Lokomotywa” Tuwima, nauczyłam się jej na pamięć w wieku czterech lat. Jeszcze z tych najwcześniejszych: „Dzieci pana majstra” Zofii Rogoszówny – wyświechtana od czytania do bólu, „O żabkach w czerwonych czapkach” Heleny Bechlerowej, „Bajki pana Perrault”... Czytanie było najważniejsze. Namietnie czytałam też w gazetach kronikę kryminalną. Bardzo mnie interesowało, kto kogo zabił i gdzie było jakieś przestępstwo.

Rodzice zaprzyjaźnili się z panią z księgarni na Oławskiej – wtedy wychodziły genialne rzeczy, ale trzeba je było zdobywać. Ona im odkładała nowości i ojciec mi podsuwał lektury, niektóre trafnie, inne mniej. Podsunął mi Sylwię Plath do przeczytania. Umieję ją prawie na pamięć.

Czytałam wszystko, co było w bibliotekach szkolnych, pasjami zaczytywałam się w książkach dla nastolatków, wtedy było ich całe bogactwo. Już nie mówię, że Siesicka czy „Słoneczniki” Snopkiewiczowej, ale całe mnóstwo powieści o nastolatkach, które miały kłopoty życiowe. Pod koniec podstawówki zaczęłam »

REKLAMA

PIĘKNO I ODPOCZYNEK W SERCU POLANICY - ZDRÓJ

- NOWY, KAMERALNY OBIEKT
- 17 APARTAMENTÓW - WYSOKI STANDARD
- ROZSZERZONA STREFA SPA&WELLNESS
- KINO 3D, STÓŁ BILARDOWY, E-ROWERY
- MULTIMEDIALNA SALA KONFERENCYJNA

- TERAPIE ODCHUDZAJĄCE
- ZABIEGI ODMŁADZAJĄCE
- LASERY NAJNOWSZEJ GENERACJI
- INNOWACYJNE URZĄDZENIA MEDYCZNE

liposonix

LIPOSONIX® - wyjątkowe urządzenie w Polsce.
Gwarantowana redukcja tkanki tłuszczowej.



74 866 70 90

WWW.VILLAALINA.PL

WWW.REVITA.BIZ.PL

re[✓]ita

PAKIETY PORYTOWE DLA KLIENTÓW CENTRUM ODNOWY REVITA ZAPEWNIĄ VILLA ALINA MEDICAL & SPA****

coraz częściej zaglądać do biblioteki rodziców i coś tam już z niej wyciągać.

Podstawówka była bardzo samotna, dopiero w liceum miałam bardzo fajne koleżanki, już było dobrze. Wtedy zaczęła się moja próba życia swoim życiem.

WAKACJE SPĘDZAŁAM U PRABABCI W BRZESKU. Od czwartego-piątego roku życia do późnej nastolatki. Tam wcześniej jeździła moja mama, a potem ja. Zawozili mnie, gdy się wakacje zaczynały, a odbierali, kiedy się kończyły. Co roku, oprócz paru wyjazdów z rodzicami nad morze z Funduszu Wczasów Pracowniczych.

Brzesko-Okocim to jest małe miasto między Krakowem a Tarnowem, gdzie jest słynny browar. Prababcia w okolicznych wsiach miała siostry, objeżdżaliśmy je wszystkie. Marszrutę wyznaczały odpusty w poszczególnych parafiach. Czytałam niedawno „Gugudy” Wioletty Grzegorzewskiej. Rozbroiła mnie bogactwem wspólnych wspomnień i doświadczeń. Wywołała światy, zapachy, cały świat, który dobrze znałam, a którego już nie ma. W tych wsiach jeszcze były chaty ze strzechami, z kufrem pośrodku, dwie izby i piec. I stajnie, i stodoły, i gnojówki.

Gdy przyjeżdżałyśmy, były żniwa, chodziło się w pole, związywało snopki, a potem zwoziło do stodoły. Pasałam krowy. W jednej z wsi był sad czereśniowy, przystawiało się drabinę – te drzewa były takie wielkie, stare, można było siedzieć na gałęzi i jeść, dopóki człowiek nie umierał z bólu brzucha od nadmiaru czereśni.

Dopiero teraz doceniam to, co mnie wtedy spotkało, jaką prawdą, autentycznością było życie na wsi. Kocham zapach siana i końskiego łąjna. Parę lat temu odkryłam konie i wtedy też te zapachy były największym nagemem.

NA PYTANIE, SKĄD SIĘ BIORĄ DZIECI, ODPOWIEDZIAŁY MI KSIĄŻKI – „O dziewczętach dla dziewcząt” Wandy Kobyleckiej i Andrzeja Jaczewskiego. Miałam też taką piękną książkę ze zdjęciami kobiety w ciąży. Rodzice mi je kupili i te książki załatwiły sprawę. Nie czułam żadnej niezdrowej ciekawości, wszystko w tych książkach było ewidentne i dość proste. Trochę też dowiedziałam się od koleżanek.

MIESZKALIŚMY W OBŁĘDNYM MIEJSCU we Wrocławiu. Do tej pory, gdy tam przyjeżdżam, nie mogę uwierzyć, że jest tak zachwycające miejsce na świecie – koło Sępolna, przy Stadionie Olimpijskim, na obrzeżach parku Szczytnickiego. Absolutnie magiczne miejsce, między zakolami Odry, wokół mnóstwo zieleni. Jak przyjechałam do Warszawy, ktoś mi powiedział, żebym poszła do Łazienek, poszłam i bardzo byłam rozczarowana: „Co to jest? Gdzie im do parku Szczytnickiego”.

DO TEATRU ZABRAŁ MNIE OJCIEC. To był Teatr Polski, na pewno grał Igor Przegrodzki, jednak nie pamiętam, co to była za sztuka. Rodzice chodzili z własnej nieprzymuszonej woli, ale też dostawali bilety pracownicze. Byli teatromanami.

Wcześniej miałam jakieś wyjścia ze szkoły do teatru lalkowego, lecz słabo to pamiętam. Do opery chodziliśmy też z klasą – na „Dziadka do orzechów”. Strasznie się śmiałyśmy, bo „Mandarynki” się myliły. Ale jakoś nie robiło to na mnie wrażenia, dopiero teatr żywego planu mnie zassał.

W liceum już zaczęłam chodzić sama albo z koleżankami. Miałamy kilka takich przedstawień w Teatrze Polskim, na których byłyśmy po kilka czy kilkanaście razy. Pamiętam, jak z Warszawy przyjechały „Śluby panieńskie” w reżyserii Andrzeja Łapickiego.

Były festiwale piosenki aktorskiej, na które wypychaliśmy się przez okno. W moim liceum w równoległej klasie działało kółko teatralne, założył je polonista. Wszyscy tam byli tak natchnieni teatrem,

strasznie im zazdrościłam, ale nigdy się nie zgłosiłam. Nie odważyłam się.

RELIGIA? Moi rodzice byli bardzo umiarkowani; nie pamiętam, żeby mama chodziła do kościoła, ojciec czasami zaglądał. Święta były w tradycji katolickiej, ale bez napinki. A ja miałam kościelnego fisia. Dzięki prababci, która chodziła dwa razy dziennie do kościoła. Odprawiała msze na balkonie, gdy u niej byłam w wakacje. Do tej pory pamiętam wszystkie pieśni kościelne. Przestało mnie to zajmować w liceum, bardziej intuicyjnie niż świadomie zaniechałam uczestnictwa.

WYBÓR STUDIÓW TO BYŁ KOMPLETNY ZBIEG OKOLICZNOŚCI. Cały czas rozważałam medycynę, ale chyba w trzeciej klasie dyrektor szkoły zapytał, ile osób wybiera się na medycynę i z mojej 20-osobowej klasy zgłosiło się z 16 osób. Jedna moja bardzo bliska koleżanka – mieszka teraz w Warszawie – jest anglistką, jeden kolega skończył prawo – jest dyrektorem lotniska we Wrocławiu, jedna koleżanka poszła na farmację, a reszta wybrała medycynę. Gdy usłyszałam, że wszyscy mówią o tej medycynie, to pomyślałam sobie, że może ja jednak nie. Nie dlatego, że nie chcę, ale dlatego, że wszyscy idą.

Zacząłam kombinować, co mogę studiować, najchętniej taki kierunek, żeby wyjechać z domu. Czułam, że już jest taki moment – potrzeba odcięcia się od rodziców wydawała mi się naturalna i konieczna. Oni to przyjmowali do wiadomości, nie protestowali. Teraz już wiem, że to są straszne emocje, sama je przesłam jako matka, bo mam dorosłego już syna.

Z tego kombinowania wyszła mi japonistyka. Nie było jej we Wrocławiu, tylko w Krakowie i Warszawie. W Krakowie nie było akurat naboru, więc została Warszawa. Miałam duże zdolności językowe, rozmawiałam biegle po angielsku i francusku. Na prywatny angielski w siemnędznych latach 70. posłali mnie rodzice. To musiał być dla nich totalny wydatek w domowym budżecie. Na francuski w Alliance Française zapisałam się sama. Ta japonistyka wydawała mi się taka ekstrawagancka, a jednocześnie przyszłościowa. Zaczęłam czytać książki, pozorować zainteresowanie kulturą japońską. To nie było dogłębne, tylko żeby przed sobą uprawomocnić tę decyzję. Przez parę dobrych miesięcy tkwiłam w tym wyborze, zmieniałam zdanie przez przypadek.

Miałam przyjaciela w równoległej klasie, z którym jaraliśmy fajki i jointy, on był w zespole punkowym. Powiedział mi, że będzie zdawał na wydział lalkarski do Wrocławia. Strasznie mnie zaintrygował tym pomysłem, zaczęłam go wypytywać i okazało się, że chodzi na zajęcia do domu kultury, które przygotowują do egzaminów. Połączyłam z nim i okazało się, że te zajęcia prowadził mąż mojej matki chrzestnej – Irecki Dudzińskiej. Nie znałam jej. Mieszkała w naszym domu, gdy się urodziłam. Wtedy babcia wynajmowała pokoje lokatorom, by jakoś skleić domowy budżet. Ona była jedną z nich, została moją matką chrzestną, po czym zniknęła z pola widzenia. Była aktorką w Opolu, a potem w Jeleniej Górze. Okazało się, że specjalizuje się w przygotowaniach kandydatów na uczelnie aktorskie. Wtedy zobaczyła mnie pierwszy raz od chrztu. Powiedziałam, że chcę zdawać do Szkoły Teatralnej w Warszawie.

NA EGZAMINACH RECYTOWAŁAM PIĘKNE WIERSZE. Grochowiaka, Szymborską, fajny fragment z „Pana Tadeusza”, bardzo ładną prozę staropolską i współczesną prozę Urszuli Kozioł. To był wybór Ireny, dobrała te teksty do mnie. Za stołem siedzieli wszyscy. To były jeszcze takie czasy, że egzamin aktorski odbywał się przed całą kadrą profesorską Szkoły Teatralnej. Najbardziej zapamiętałam Andrzeja Łapickiego – to miał być jego rok, więc on wybierał, Maję Komorowską i Ryszardę Hanin. Niespecjalnie się ba-

łam, nie pamiętam strachu, tylko swoją bezczelność – po prostu idę, jak się nie uda, to trudno. Na pewno nie miałam w planach, że będę zdawać do skutku, bo jednocześnie złożyłam papiery na japonistykę.

Szkoły Teatralnej nie lubiłam. Byłam jakaś taka niepozbita, niepokładana. Cały czas ktoś czegoś ode mnie chciał i okazywało się, że jestem nie taka, jaka powinnam być. Nie tak mówię, nie tak układam język, nie takie mam więzadelko, nie taki mam zgryz, nie taki mam głos, nie tak się ruszam, nie tak wyglądam... W ogóle nie wiedziałam, o co chodzi, czego ode mnie chcą. Szkoła okazała się dla mnie psychicznie wyniszczająca.

Dlatego później, gdy wróciłam do tej samej Szkoły Teatralnej i zostałam w niej wykładowcą, stwierdziłam, że będę to robić tak, jak czuję, jak ja sama chciałabym być uczona. Wypracowałam sobie własną metodologię – bardziej opieki, budzenia potencjału, a nie tresowania. Uwielbiam uczyć. W Warszawie wychowałam 12 roczników aktorów. Kawał czasu. Miałam 31 lat, gdy zaczęłam, między mną a studentami nie było zbyt dużej bariery wieku. Bardzo dobrze wszystko pamiętałam, jak to wszystko wygląda w szkole, a jednocześnie już miałam doświadczenia w pracy z aktorami w teatrze. Czulałam dużą radość, że mogę kogoś czegoś nauczyć, coś mu dać. Na tamtym etapie to było budujące dla mnie samej.

Obecnie prowadzę zajęcia w Krakowie. Lubię to.

rują głównie osoby niepewne siebie, pewność siebie ma niewiele wspólnego z tym zawodem.

W ogóle znam niewiele osób pewnych siebie, to jest strasznie złudne, to jakaś maska. Dojrzała pewność siebie – taka, która polega na tym, żeby sobie wyznaczyć granice, w których się żyje i funkcjonuje – jest naprawdę wielką umiejętnością. Bycie pewnym siebie towarzystwo czy pewnym swego zdania jest zawsze czymś podszyte. Nie ufam temu.

Gdy byłam nastolatką, denerwowało mnie, że nie byłam dopuszczana do dialogu, nikt nie słuchał moich racji i argumentów. Przy najmniej tak mi się wtedy wydawało. Nie wiem, jak naprawdę było, bo jednak nastolatka ma strasznie wykrzywioną perspektywę. Denerwowało mnie, że moi rodzice mają taką, a nie inną relację, uważałam, że to nie fair. Że to jest jakieś ogromnie niesprawiedliwe. Tak w ogóle, dla świata.

Pamiętam, jak kiedyś myłam naczynia – to musiało być wczesne liceum – i palnęłam, że nigdy nie wyjdę za mąż. Rodzice zaczęli się śmiać, pytali, jakim cudem więc będę miała dzieci. Odpowiedziałam, że sobie poradzę. Oni żartowali, że pewnie przez dzierworództwo.

Do tej pory nie wyszłam za mąż – nie żarzekam się, może nam przyjdzie z Krzyśkiem do głowy, że weźmiemy ślub, ale żadne z nas nie ciśnie. Może jakieś okoliczności to spowodują.

REKLAMA

Jedyne wkładki pokryte 100% bawełną!

Miękkie i delikatne, bardziej niż myślisz...
bella panty intima

bella.pl



Wybierając wkładki higieniczne Bella Panty Intima, pomagasz Ogólnopolskiej Organizacji Kwiat Kobiecości w edukacji młodzieży szkolnej w ramach programu „Młoda i zdrowa”.



KIEDY POCZUŁAM, ŻE JESTEM DOROSŁA? To jest bardzo trudne pytanie. Myślę, że to kwestia ostatniego roku. Nic spektakularnego się nie wydarzyło, po prostu wszystko się pozbiierało, zsumowało... Bo to, że się ma dzieci, wcale nie znaczy, że człowiek jest dorosły, nie?

Można być odpowiedzialnym w stosunku do dzieci, a we wszystkich innych sferach pozostawać kompletnie niedojrzałym. Ja bardzo odpowiedzialnie podchodziłam do swoich dzieci, bardzo chciałam je mieć, one bardzo dużo w moje życie wniosły. Doświadczenie na bogato. Ale moja dorosłość wykluwała się długo. Może jeszcze się wykluwa.

NIGDY NIE BYŁAM PEWNA SIEBIE. Nadal nie jestem, tylko nauczyłam się pewnych sposobów komunikacji z ludźmi. Myślę, że reżyse-

Ciekawe, jak będzie z moimi dziećmi. One żyją w innej rzeczywistości. Moja droga do odkrywania mojej własnej roli kobiety w życiu była potwornie mozolna. Piętno systemu patriarchalnego było tak silne, tak determinujące, że odkręcanie tego było bardzo powolnym procesem. Cieszę się, że moje dzieci mogły sobie niedawno obejrzeć Emmę Watson wygłaszającą przed ONZ przemówienie inauguracyjne kampanię HeForShe, nawołującą, by mężczyźni dołączyli do walki o równouprawnienie, i po prostu mogły się na nią zgodzić, uznać ten punkt widzenia jako pewną normę w świecie. Droga naszego pokolenia była potwornie trudna, jeśli chodzi o te sprawy. ●